

Fragmenty książki **Jenny Diski** *Lata sześćdziesiąte*

Przekład Maciej Płaza.

W 1968 roku wielki narkobiznes jeszcze nie istniał, z narkotykami nie wiązała się też zorganizowana przestępczość; czarny rynek opierał się głównie na receptach przepisywanych nielegalnie przez lekarzy. Kto potrzebował heroiny, mógł mieć ją za darmo. Mój chłopak codziennie robił zwyczajową rundę: szedł do lekarza, do apteki, robił sobie zastrzyki, a na nas, nielegalnych, patrzył z góry. Nie lubił dragów. Mówił, że gdy widzi, jak robimy skrety lub zarzucamy kwas, robi mu się niedobrze. My byliśmy niechlujni, on ubierał się starannie i schludnie, codziennie mył włosy, utrzymywał regularną i prawidłową dietę, a swój sprzęt trzymał w czarnej skórzanej saszetce, z którą nigdy się nie rozstawał. Wychodził każdego ranka, nikt nie wiedział dokąd, i kręcił jakieś swoje interesy: tu wymienił, tam sprzedał, czasem to, co dostał na receptę – lecz bez włamywania się do domów i nagabywania ćpunów na ulicy.

Gdy wychodził rano z domu, sprzątałam w naszej prywatnej sypialni i przekształcałam ją z powrotem w ogólnodostępną kuchnię. Ścieliłam łóżko i odstawiałam na bok skrzynkę po jabłkach służącą nam za nocny stolik. Gdy wracał do mieszkania, strzykawka, którą zostawił rano przy łóżku, była już czysta; każdego ranka po umyciu kubków po herbacie czyściłam ją w zlewie, zmywałam krople krwi i resztki narkotyku, płukałam starannie wrzątkiem, rozkręcałam i zostawiałam na suszarce, by wyschła. Dopiero po paru tygodniach zdałam sobie sprawę, że wypełniając te poranne obowiązki upodabnam się do kobiet samotnie łykających pigułki w willach na przedmieściach – kobiet, do których nie chciałam się nigdy upodobnić. Oczywiście tylko w przybliżeniu. Prowadziliśmy nasze poważne, poszerzające umysł gry, bawiliśmy się w piratów – ale też, jak wszystkie dzieci na świecie, bawiliśmy się w dom.

\*\*\*

Byliśmy bitnikami i dziwakami, o których pisały popularne gazety i którzy przysparzali tylu zmartwień naszym rodzicom. Maszerowałam w grupie ludzi tuż przed trzydziestką, spotykających się regularnie w pubach Highlander i French przy Dean Street oraz w kawiarni Partisan za rogiem, gdzie odbywały się zebrania Nowej Lewicy. Jednym z nich był syn przyjaciółki kobiety, u której mieszkalam; miał się mną opiekować.

Była to chwila, gdy wreszcie poczułam, że znajduję się we właściwym miejscu, wśród podobnie myślących ludzi – humanistów, socjalistów, ostro pijących, szybko mówiących, mądrych ludzi, którzy nie traktowali mnie tak, jakbym była pod ich opieką, lecz jak gdybym była jedną z nich. Gdy szliśmy ręką w rękę przez Reading i Slough, od czasu do czasu ze szczególną jaskrawością docierało do mnie jednak, o co w tym wszystkim właściwie chodzi. Ja naprawdę byłam przekonana, że prędzej czy później na Waszyngton, Moskwę, Paryż i Londyn spadną bomby. Byłam zupełnie pewna, że część życia, być może nawet większą część, przyjdzie mi spędzić w świecie spustoszonej wojną atomową. O ile w ogóle przeżyję. Zrozumiałam to tak samo, jak dziecko, które nagle zaczyna rozumieć, że pewnego dnia umrze i wieczorem w łóżeczku stara się ogarnąć to myślą, wyobrażając sobie tę katastrofę, podczas gdy rodzice sądzą, że snuje sobie jakieś baśniowe fantazje. Oczywiście podobnie jak dzieci przez większość czasu nie pamiętałam o tym i zachowywałam się jak typowa młoda osoba, która ma całe życie przed sobą, ale ta wiedza co pewien czas dawała znać o sobie, przygotowując mnie niemal o zawrót głowy. W trakcie trzydniowego marszu rozglądałam się więc czasem dokoła, patrzyłam na popijających, rozgadanych wesoło towarzyszy, rozkoszując się w myślach najrozmaitszymi przyjemnościami, które czekały mnie w życiu, a równocześnie budził się we mnie gwałtowny sprzeciw wobec polityki budowanej na śmiertelnym strachu i zastanawiałam się, czy ci wszyscy ludzie serio wierzą, że najgorsze naprawdę się wydarzy – tak jak ja wierzyłam w moich chwilach pewności. Być może każdy człowiek uważa, że tylko on spodziewa się najgorszego. A może każdy, kto ma piętnaście lat, sądzi, że tylko on zna prawdę. Tak czy owak nie mogłam sobie wyobrazić, by moi towarzysze oraz wszyscy inni uczestnicy wielotysięcznego marszu – niektórzy byli zaś jeszcze wówczas, w początkach lat sześćdziesiątych, bardzo wojowniczy – naprawdę wierzyli, że już wkrótce cała planeta eksploduje, a oni wylecą w powietrze lub umrą w męczarniach.

Poczuciu, że jestem jedyną depozytariuszką prawdy, towarzyszyło zdumienie; nie byłam w stanie pojąć, jak ci, co rządzą światem, mogą działać w taki sposób – czyli nie tylko konstruować broń atomową i siać strach, ale też akceptować ten stan rzeczy, nie mówiąc o współtworzeniu nikczemnego systemu opartego na społecznych i edukacyjnych nierównościach, rasizmie i nędzy. Niekiedy nawiedzało mnie poczucie, że to wszystko mi się śni, że zaraz się zbudzę i racjonalni, wykształceni, odpowiedzialni ludzie o c z y w i ś c i e nie pozwolą już, by którekolwiek z tych niewyobrażalnych bolączek dłużej nękały świat. Niewiele wiedziałam o złożoności i kompromisach *Realpolitik* – zwłaszcza że znałam historię Europy zaledwie na poziomie szkoły średniej – cóż jednak było bardziej r z e c z y w i s t e g o niż fakt, że na jednej i tej samej planecie mieszkają ludzie głodni, chorzy i wydziedziczeni

oraz wykarmieni, wykształceni i wyszkoleni, którzy mają władzę i mogliby temu jakoś zaradzić? Innymi słowy, nie miałam zmysłu politycznego. Przyglądałam się światu i widziałam, że cierpienie toleruje się ze względów politycznych i ekonomicznych bądź też z chciwości lub lenistwa – a ponieważ nie żyłam jeszcze na tej planecie zbyt długo, byłam tym wstrząśnięta.

Pięć lat później nie byłam o wiele mądrzejsza. Amerykańska inwazja w Wietnamie nie była wojną Brytyjczyków, nie wynikała nawet z kolejnej wpadki imperium brytyjskiego, rząd Wilsona publicznie popierał jednak Amerykanów, choć z drugiej strony udało mu się uniknąć – na razie – wyrażenia tego poparcia w formie wysłania na wojnę własnych żołnierzy. W tym momencie dziejów – i tak pozostało do dziś – nie miało już wszakże większego znaczenia, co zrobi bądź czego nie zrobi brytyjski rząd. To, co Amerykanie robili w Wietnamie, było jasne jak słońce; wszyscy widzieli w telewizyjnych wiadomościach i czytali w gazetach, jak światowe mocarstwo w imię swego bezpieczeństwa poluje na kiepsko wyekwipowaną partyzantkę i pali napalmem wioski. Dowiedzieliśmy się, jak amerykańscy żołnierze traktują „żółtków” – nie-nas, mniej niż ludzi – i zmieniają starożytne południowowietnamskie miasta w swoje burdele, gdzie zażywają relaksu i rekreacji. Cały świat to widział. Prócz Seymoura, który uciekł przed poborem, nie znałam osobiście nikogo, kto zostałby wciągnięty w tę wojnę, ale nie o to chodziło. Było coś, co różniło tę wojnę od poprzednich konfliktów i zamorskich awantur: to, że miały do niej dostęp media, a dzięki nim cały świat – dla mnie i wielu moich rówieśników z powojennego pokolenia świat nie mógł już więc dzielić się na ludzi, których znam, i na tych, których nie znam. To, co przytrafiało się obcym ludziom na drugim końcu świata, również było ważne. Nie byłam winna temu, co robi Ameryka, ale nie miałam wątpliwości, że moim obowiązkiem jest wystąpić ze sprzeciwem.

Tariq Ali, w przeciwieństwie do mnie, miał zmysł polityczny, ale również był młody. Rozmowa z przedstawicielami Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego na konferencji pokojowej w Helsinkach w 1965 przekonała go, że „na Zachodzie nadszedł czas radykałów, socjalistów i demokratów. Musieliśmy uczynić wszystko, co w naszej mocy – choćby i postawić świat na głowie, jeśli to będzie konieczne – by pomóc Wietnamczykom przepędzić Amerykanów z ich kraju. Po powrocie do Wielkiej Brytanii z całą energią rzuciłem się w wir działań politycznych związanych z wojną wietnamską”<sup>1</sup> – pisał. Udzielał

---

1

Tariq Ali, *Street Fighting Years*, London, Collins, 1987.

się w Kampanii na Rzecz Solidarności z Wietnamem, która zorganizowała pierwszy, a teraz także drugi, bardzo wyczekiwany marsz pod ambasadę amerykańską na Grosvenor Square.

\*\*\*

Ci, co poszli na studia – do koledżu, na uniwersytet, na uczelnię artystyczną – najpierw wypróbowywali edukację radykalną na sobie. W Ameryce było znacznie więcej rozruchów studenckich niż w Wielkiej Brytanii, głównie protestów przeciw wojnie wietnamskiej. Brutalność, z jaką policja i władze rozprawiały się z demonstrantami, wydawała nam się zdumiewająca. Na Kent State University czworo studentów zginęło od kul; w jednej chwili okazało się, że bycie studentem nie jest tylko okresem beztroskiej nieodpowiedzialności pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Dorośli zabijali swoje dzieci – i to nie wysyłając ich na wojnę, tylko strzelając do nich za to, że im się ta wojna nie podobała. Na całym świecie studenci byli otoczeni ogólną niechęcią. Wyglądało to tak, jakby dorośli mieli już dość fundowania swym dzieciom młodzieńczych szaleństw. Może chodziło o to, że starzy zamiast pobłażliwie pozwalać młodym na to, czego im samym brakowało, zaczęli mieć do nich żal, ponieważ nie podobało im się, że wkrótce młodzi przejmą po nich świat. Dziś nostalgia mojego pokolenia za latami sześćdziesiątymi faktycznie wydaje się podszyta niechęcią wobec współczesnej młodzieży: „Was obchodzą tylko pieniądze, kariera i status społeczny. Gdy my byliśmy młodzi...” – mówimy. W każdym razie na początku lat siedemdziesiątych wydawało się, że młodzi ludzie wymknęli się spod kontroli, że nie myślą tylko o seksie, dragach i rock and rollu, ale chcą też mieszać się do polityki. Młodzi ingerowali w porządek świata i wyciągali do starych rękę po pieniądze. Starzy nasłali więc na nich gliny. Dzięki temu studenci w Ameryce, a przez to także na całym świecie, mogli zacząć poważnie traktować siebie samych.

Przejęli zatem sale wykładowe i nie chcieli ich opuścić. Słuchacze stali się mówcami, a przemówienia polityczne stały się przestrzenią eksperymentalnej pedagogiki: studenci oraz niektórzy wykładowcy uznali, że dzielenie się wiedzą jest lepsze niż wlewanie jej do głów i wylewanie z powrotem po egzaminach. Polityka edukacyjna – wraz z potrzebą edukacji politycznej – wybuchła z niespotykaną dotąd siłą i rozpałała wyobraźnię; wydawało się, że może wstrząsnąć światem i zmienić go na lepsze. Z idei dobrowolnego kształcenia wynikła myśl, że odpowiedzialność za programy zajęć powinni ponosić nie tylko nauczyciele, ale i studenci. Autorytatywne wpajanie wiedzy młodym ludziom przestało być oczywiste samo

przez się. Oczywiście w postępie geometrycznym rosła też liczba zebrań i porad. Oficjalni edukatorzy i administratorzy nie mieli na nie wstępu, zawłaszczono budynki uczelniane, w salach wykładowych, aulach i stołówkach toczyły się długie dyskusje o tym, czego uczyć, jak uczyć i kto powinien torobić. Pozwalało to z pewnością przemyśleć wszystkie te sprawy, był to też jednak czas zabawy, nieróbstwa – woda na młyn tych bardziej dogmatycznych i pedantycznych studentów, różniących się od władz jedynie wiekiem i dostępem do oficjalnej władzy. Sporo mówiło się o tym, że najwyższy czas skończyć z bzdurami, których naucza się w szkołach i na uczelniach, a które nie pozwalają uczniom i studentom zastanowić się nad tym, co robią i dlaczego – ale sporo bzdur mówiono też przecież na tych zebraniach.

\*\*\*

Czytałam książki Lainga, jak gdyby były atlasami drogowymi mojego życia. Chciałam być częścią tego, o czym w nich mowa (mimo że miałam jedynie skromną depresję, a Laing interesował się i ekscytował tylko schizofrenikami). Lecz gdy w połowie lat sześćdziesiątych chodziłam na leczenie do Tavistock Clinic i oznajmiłam, że chcę zatrudnić się jako wolontariuszka w Kingsley Hall, mój psychiatra odparł (oczywiście najzupełniej słusznie, nie byłoby to zbyt dobre dla mojego zdrowia psychicznego): „Spróbuj tylko, a wyślę cię na leczenie zamknięte”. Groźba zamknięcia w zakładzie i wymuszonego leczenia była uniwersalnym środkiem na trudne przypadki, który każdy psychiatra zawsze miał pod ręką – a zarazem wodą na młyn antyautorytatywnie nastawionych pacjentów i teoretyków.

Laing ze swoją koncepcją wyzwolenia obłąkanych wpisał się w słyszalną już wówczas dyskusję na temat wyzwolenia umysłu w szerszym sensie – i był niesamowicie przekonujący. Przynajmniej w teorii. Laing był błyskotliwym teoretykiem, praktyka wyglądała jednak inaczej: ci spośród pacjentów, którzy nawet jemu sprawiali wyjątkowe kłopoty, często bywali ekspediowani z powrotem do zakładów lub pozostawiani samym sobie. Sama pamiętam co najmniej jeden przypadek, gdy dr Ronnie wzywał panów w białych kitlach, a sam umywał ręce. Narkotyki, picie, ogólne dziwactwo i fenomenalnie rozdęte *ego* mieszało mu się z teorią i wytwarzało niebezpieczne czarne dziury w jego praktyce.

Nawet jeśli pominąć niedostatki samego Lainga, pozostawała jeszcze kwestia cierpienia. Szaleństwo wydawało nam się czymś romantycznym, toteż Laing oraz ci z nas, którzy go wspierali, nie umieli poważnie potraktować udręki ludzi obłąkanych. Ból był egzystencjalną

prawdą, antypsychiatrzy pozwalali więc, by ich pacjenci jej doświadczali – i nawet stymulowali u nich ból.

